

prof. dr hab. JAN OSTROWSKI

Polska Akademia Umiejętności

JAK NAS GLOBALIZUJĄ

Wyraźny nacisk na publikowanie w języku angielskim, całkowicie uzasadniony, jeżeli chodzi o dyscypliny „globalne”, w odniesieniu do niektórych innych, takich jak historia czy historia sztuki, takim już nie jest. Aby poruszać się po terenie sobie znanym, pozwolę sobie ograniczyć poniższe uwagi i przykłady do drugiej z wymienionych dyscyplin. Otóż w historii sztuki literatura anglojęzyczna jest bardzo bogata, ale nie ma przewagi na literaturą w kilku narodowych językach kongresowych, a nauka anglosaska wcale nie jest tu nauką wyraźnie wiodącą. Rysuje się bowiem kilka bardzo silnych „rynków” naukowych, związanych z krajami, które wniosły najwięcej do rozwoju samej sztuki oraz dyscypliny zajmującej się jej badaniem. To przede wszystkim obszar języka niemieckiego, do lat trzydziestych XX wieku zdecydowanie dominujący na skalę światową, który po poważnych stratach spowodowanych przez hitleryzm, w okresie powojennym stopniowo odbudował swą pozycję. W języku niemieckim ukazała się (i nadal ukazuje się) większość podstawowych kompendiów służących historykom sztuki. Środowisko niemieckie jest też znacznie bardziej od anglosaskiego zainteresowane problematyką sztuki polskiej, jak „sąsiedniej” w ramach Europy środkowej. Ogromna, choć nierównej wartości literatura, powstaje w języku włoskim, a dotarcie do tamtejszego środowiska z opracowaniami dotyczącymi naszej sztuki, silnie powiązanej z Włochami, oraz naszych zbiorów ma istotne znaczenie. Warto przy tym wskazać, że włoski wydawca, zabiegający o udział w publikacji katalogu rysunków genueńskiego malarza Sinibalda Scorzy z Muzeum XX Czartoryskich

nie chce słyszeć o wersji angielskiej wydawnictwa. W badaniach nad sztuką francuską, bardzo dla nas ważną, jeżeli chodzi o wieki XVIII-XX, dominuje oczywiście język francuski. Dla badaczy sztuki bizantyńskiej, ruskiej i rosyjskiej najważniejszy jest język rosyjski.

Zdając sobie sprawę z tych uwarunkowań, należy starać się dobrać szatę językową opracowania w sposób, który zapewni jego najszerszą recepcję i oddźwięk. Na przykład na kongresach i konferencjach należy, w miarę możliwości, wypowiadać się w języku kraju, w którym odbywa się spotkanie. Jest oczywiste, że katalog „wyeksportowanej” wystawy musi być wydany w języku kraju przyjmującego (spotkałem się z przypadkiem odmowy wydania wersji anglojęzycznej, a nawet dwujęzycznej wersji katalogu wystawy, którą Zamek Królewski na Wawelu zorganizował w Québecu).

Kolejny element specyfiki literatury historyczno-artystycznej to proporcjonalność zainteresowania daną pracą środowiska naukowego wobec jakości artystycznej jej przedmiotu. Opracowania na temat wielkich mistrzów mają szansę wzbudzić szerokie zainteresowanie w całym świecie, dzieła i artyści średniej klasy – w stopniu o wiele mniejszym, a twórczość lokalna i peryferyjna mało kogo obchodzi. Niestety, w szerokiej opinii nasze zasoby sztuki (*in situ* i w muzeach) nie są szczególnie atrakcyjne, choć być może obecnie jest szansa na zmianę tej opinii, dzięki masowej turystyce i świetnemu wrażeniu, jakie robią na przybyszach nasze miasta (przede wszystkim Kraków).

Wychodzenie z naszymi opracowaniami oraz z naszą problematyką ku środowisku międzynarodowemu to działanie trudne i delikatne, a rezultaty bywają niekiedy nieoczekiwane. Pozwolę sobie pochwalić się tu własnym sukcesem – jeden dobrze uplasowany artykuł (w języku angielskim, przyznaję) wprowadził na europejskie salony znakomitego późnobarokowego rzeźbiarza lwowskiego Jana Jerzego Pinsła. Artysta, który jeszcze 30 lat temu nie miał nawet imienia (pisało się o tajemniczym mistrzu Pinslu), miał bardzo dobrze przyjęte wystawy w Paryżu i Wiedniu. Akcja ta musiała być jednak odpowiednio podbudowana. Wspomniany artykuł był pewną syntezą, opartą na wieloletnich żmudnych badaniach, których wyniki były publikowane po polsku, a owe kolejne drobne kroki z pewnością nie zainteresowałyby wielkiego świata. Badania te i publikacja ich wyników były natomiast bardzo istotne dla środowiska polskiego i ukraińskiego (pamiętajmy o roli języka polskiego na wschód od naszej granicy!), a tłumaczenie tego rodzaju prac byłoby tylko stratą energii i powodowałoby odstręczenie czytelników.

W moim głębokim przekonaniu szczegółowe badania lokalne muszą pozostać domeną języka narodowego, a przyznawanie nieproporcjonalnie wysokich

gratyfikacji punktowych za prace anglojęzyczne może doprowadzić do kryzysu, a nawet zaniku tego bardzo potrzebnego segmentu badań. Skąd weźmiemy dobrze napisane prace o charakterze syntetycznym, jeżeli nie będziemy dysponowali zapleczem w postaci odpowiedniej liczby prac o charakterze źródłowym i analitycznym? A kto napisze takie prace, jeżeli ich publikacja nie przyniesie jakiegokolwiek rekompensaty w postaci punktów liczących się w ocenie autora i reprezentowanej przez niego instytucji? Co stanie się z badaniami lokalnymi, które nie mają szans na przebicie się do wysoko punktowanych wydawnictw, a stanowią ważny element tożsamości narodowej? Co stanie się z badaniami regionalnymi, w całym cywilizowanym świecie tworzącymi konieczny substrat nauki na poziomie narodowym i międzynarodowym? Komu i na co przydadzą się takie opracowania, jeżeli narzucony mechanizm zmusi autorów i wydawców do publikowania ich w języku angielskim? Obawiam się, że twórcy wprowadzanego właśnie systemu pytań tego rodzaju sobie nie zadali.

Dosyć uwag właściwie nie na temat.

Obok wysiłków zmierzających do wprowadzenia naszej problematyki do literatury światowej spotykamy się coraz częściej z przykładami „globalizacji odgórnej”, tzn. z przypadkami podejmowania problematyki polskiej przez uczonych zagranicznych, dobrze osadzonych w środowiskach zachodnich, piszących z natury rzeczy w językach kongresowych i mających stosunkowo łatwy dostęp do wysoko punktowanych wydawnictw. Jest oczywiście wiele przypadków powstawania w ten sposób prac cennych, które jeżeli nawet nie wnoszą nowych ustaleń szczegółowych, to zawierają szerokie i stosunkowo łatwo przyswajalne dla czytelnika zagranicznego spojrzenia syntetyczne. Mam tu na myśli takich uczonych, jak historycy Norman Davies, Timothy Snyder czy historyk sztuki Thomas DaCosta Kaufmann. Można jednak wskazać także przypadki badaczy, którzy trudną konkurencję w ramach naukowego rynku anglo- czy niekiedy francuskojęzycznego starają się niejako ominąć, podejmując problematykę z ich punktu widzenia peryferyjną, w naszym przypadku polską. Są wśród nich niekiedy osoby o polskich nazwiskach, zapewne dysponujące względnie dobrą znajomością języka polskiego lub też stypendyści stosunkowo łatwo uzyskujący pomoc finansową na pobyty badawcze w Polsce. Przykłady pozwolę sobie przytoczyć z dobrze znanej mi tematyki, w ramach której czuję się uprawniony do wydawania sądów. Wśród znanych mi publikacji z zakresu historii sztuki mogę wskazać powstałe w ten sposób prace poprawne (należy się z tego cieszyć i inicjatywy tego rodzaju wspierać), ale i przypadki wręcz skandaliczne, będące produktem ignorancji i zadufania

w sobie, rozpowszechniające za granicą fałszywe, a niekiedy absurdalne informacje i interpretacje. Jako przykład można tu wskazać książkę Jeannie Łabno, *Commemorating the Polish Renaissance Child. Funeral Monuments and their European Context* (Ashgate) Farnham 2011, dotyczącą renesansowych nagrobków dziecięcych w Polsce, która stała się podstawą doktoratu na uniwersytecie w Sussex. Trudno zrozumieć, jak szanująca się uczelnia i cieszący się dobrą opinią promotor (Nigel Llewellyn) mogli przyjąć pracę, która nie miałaby szans na żadnym polskim uniwersytecie. Gdzie byli recenzenci i redaktorzy szanującego się wydawnictwa? Wystarczy wskazać, że autorka w żaden sposób nie wyszła poza ustalenia Marii Kołakowskiej z roku 1956 (!) i popełniła wszelkie błędy, jakie można sobie wyobrazić (a właściwie nie można sobie wyobrazić). Jej wyjątkowym „osiągnięciem” jest reprodukowana w książce mapa Polski, która obejmuje Czechy i Węgry, a nasz kraj w ten sposób sięga Adriatyku (autorka przejęła mapę z książki Normana Daviesa, tyle że tam była ona podpisana jako *Państwa jagiellońskie*). Pani dr Łabno nie zna nawet podstaw łaciny i nie umie rozwinąć prostych skrótów występujących w inskrypcjach nagrobnych, takich jak Hier(onymus). I tak dalej, i tak dalej. O żadnych poprawnych wnioskach czy hipotezach w tych warunkach nie może być mowy. Na szczęście książka została należycie potraktowana w anglojęzycznej recenzji dra hab. Michała Kurzeja („Folia Historiae Artium”, SN, 13, 2015, s. 187-197).

Drugi przykład jest równie efektowny. Ostatnio ukazała się w wydawnictwie Routlege (za 200 punktów oczywiście) książka pod emblematicznym tytułem *Globalizing Eastern European Art Histories. Past and Present* (2018), zawierająca prace o bardzo rozbieżnej tematyce, być może częściowo spełniające kryteria poprawności naukowej. Te, które przeczytałem szczegółowo, nie spełniają żadnych kryteriów (oczywiście w różnym stopniu). Na czoło wysuwa się tu artykuł Carolyn C. Guile pt. *Reflections on the Politics of Portraiture in Early Modern Poland*. Trudno dyskutować z tekstem, który w naszych warunkach nie mógłby zostać przyjęty jako praca proseminaryjna. Nie można jednak nie rozbawić czytelnika takimi kwiatkami, jak określenie sytuacji geograficznej dawnej Rzeczypospolitej, która „once shared borders with Ottoman Empire, Ruthenia and Muscovy”, usytuowanie „Ruthenian Cossaks in what is now western Ukraine”, informacja o utracie części Podola na rzecz Turków w 1681 roku, czy określenie posła tatarskiego Dedesza Agi jako jednego z „King John Kazimir most valued deputies”. Nie trzeba wyjaśniać, że autorka odczytała słowo „poseł” nie w znaczeniu „ambasador”, ale w znaczeniu „poseł na sejm” (zapominając, że Dedesz Aga był Tatarem), a czytelnikowi niechący

zasugerowała, że był on „ulubionym zastępcą Jana Kazimierza”. W tych warunkach nie można w ogóle mówić o jakiegokolwiek analizie politycznych aspektów malarstwa portretowego.

Zarówno p. Łabno jak p. Guile odbyły staże na polskich uniwersytetach, w zasadzie rozumieją po polsku, miały wszelkie możliwości, by poprosić o konsultacje swych polskich znajomych. Nie zrobiły tego, wiedziały lepiej. Obydwie prace ukazały się w renomowanych wydawnictwach, a w Polsce przyniosłyby autorkom znaczną zdobycz punktową. Warto przy tym pochylić się nad skrajnie pretensjonalnym tytułem zbioru opublikowanego przez wydawnictwo Routledge. Gorzej niż pretensjonalnym. Widzę w nim przejaw postawy już nie postkolonialnej, by użyć modnego terminu, ale wręcz kolonialnej, bez jakiegokolwiek uzasadnienia polegającej na patrzeniu z góry na naszą problematykę. W sumie, przedstawione przypadki dowodzą, że ani dobra anglosaska uczelnia, ani cenione wydawnictwo nie zapewniają automatycznie wysokiej jakości prac cenzusowych i publikacji. Prawda ta, wraz ze wskazanym wyżej, budzącym głęboki sprzeciw podejściem „globalizacyjnym”, powinny przebić się do świadomości osób konstruujących system ocen naszej nauki.